Vol. 5. No. 16. 15 sierpnia 1944 CENA 3d.

P.P.S. Wolność! Równość! Niepodległość!

ROBOTNIK POLSKI

W WIELKIEJ BRYTANJI

Pismo Sekcji Zagranicznej P.P.S.



WARSZAWA

WRZESIEŃ 1939 — SIERPIEŃ 1944

DO WALCZĄCEJ WARSZAWY

Głos P.P.S.

Tow. Tomasz ARCISZEWSKI, przewodniczący Centralnego Komitetu Wykonawczego P.P.S., przemówił do Warszawy przez radio z Londynu w dniu 13 sierpnia wieczorem.

WALCZĄCA WARSZAWO!

Przed paru zaledwie tygodniami wyjechałem z Kraju. Spędziłem z Wami w podziemiach lata prześladowań i ciężkiej walki z niemieckim najeźdźcą. Wiem, że z niezachwianą wiarą oczekiwaliście dnia wyzwolenia. Byliście przygotowani na ciężką walkę i na ofiary. Dziś osamotnieni w walce, niemal bezbronni, skazani jesteście na długie dni oczekiwania pomocy z godziny na godzinę.

My tutaj wszyscy Polacy oczekiwaliśmy i oczekujemy, że ta pomoc będzie Wam udzielona. Przeżywamy tutaj ten tragizm walczącej armii podziemnej, gwardii i milicji P.P.S., Was wszystkich, którzy wiecie, że Armia Polska walczy na wszystkich polach bitew Europy, a nie może w tej chwili być z Wami. Cóż Wam, drodzy, mogę powiedzieć, jak tylko złożyć hołd wszystkim walczącym i cierpiącej i umęczonej ludności miasta Warszawy? Chylimy czoła przed śmiercią męczeńską wszystkich zarówno tych, którzy polegli w walce z bronią w ręku, jak i bezbronnej ludności cywilnej, zakatowanej, pomordowanej przez niemieckich oprawców.

Walczycie o niepodległość Polski, a naszym zadaniem tutaj jest stać nieugięcie na straży, aby ta walka nie była beznadziejna, ażeby Ci, którzy umierają, umierali z tą wiarą, że Polska będzie wolna i szczęśliwa, i ażeby demokracja światowa znała Waszą walkę i Wasze poświęcenie.

Wypadki tak się złożyły, że tuż potem jak stanąłem na wolnej ziemi brytyjskiej i przybyłem do Londynu, nadeszła wiadomość o wybuchu walk w stolicy naszej. Czyż mam Was zapewniać, że w granicach swych możliwości od pierwszej chwili otrzymania wieści o walce, jaka rozpłomieniła się w Warszawie, nie ustawałem i nie ustanę w wysiłkach. Staram się być tutaj rzecznikiem walczącej Warszawy i Polski całej. W sprawach pomocy dla walczącej Warszawy jestem w stałym kontakcie z Prezydentem Rzeczypospolitej i z rządem polskim a zwłaszcza wicepremierem Kwapińskim, który tu na miejscu obecnie przewodniczy pracom rządu i z Ministrem Obrony Narodowej oraz Naczelnym Wodzem. Mogę Was zapewnić, że naczelną troską wszystkich tych odpowiedzialnych czynników polskich jest zapewnić i przyspieszyć pomoc dla Warszawy. Ponadto wraz z tow. Ciołkoszem odbyliśmy cały szereg konferencyj i rozmów z najwybitniejszymi przedstawicielami i przywódcami Labour Party i społeczeństwa brytyjskiego. Zostaliśmy dwukrotnie przyjęcie przez wicepremiera rządu brytyjskiego Attlee. Prasa brytyjska, prasa całego wolnego świata, żywo śledzi walkę Warszawy.

Chciałbym, ażeby Delegat Rządu-Wicepremier, Rada Jedności Narodowej i jej przewodniczący oraz naczelne dowództwo Armii Krajowej, wszyscy towarzysze z P.P.S., wszyscy walczący i cała ludność Warszawy, wiedzieli i byli pewni, że przeżywamy tutaj każdą godzinę i każdą chwilę walk w stolicy naszej, że znamy Wasze położenie, że codziennie mamy wiadomości o Waszych walkach i o Waszych ofiarach. Chciałbym także, abyście byli pewni i ufni, że znamy swój obowiązek i że go tutaj spełniamy tak jak to nam nakazuje i rozum, i serce, i sumienie.

Za zbrodnie dokonane na żołnierzach polskich i na niewinnej ludności Warszawy odpowiadać będą niemieccy oprawcy.

Sciskam Was serdecznie imieniem wszystkich towarzyszy naszych. W trosce o zwycięstwo Wasze jesteśmy całym sercem, całą duszą z Wami.

Pozdrawiam Warszawę, drogie, okrwawione, walczące i nigdy nieugięte miasto! Pozdrawiam Was, towarzysze broni i przyjaciele.

Głos Międzynarodówki

Camille HUYSMANS, przewodniczący Socjalistycznej Międzynarodówki Robotniczej, przemówił do Warszawy przez radio z Londynu dnia 15 sierpnia rano.

ROBOTNICY WARSZAWY!

Słyszymy wołanie Wasze, polscy robotnicy, towarzysze nasi, walczący od dwóch tygodni o swe wyzwolenie. Wasz duch wywołał entuzjazm świata całego, a razem z nim całego ruchu socjalistycznego. Dni Waszej wspaniałej walki w roku 1939, ponure dni bohaterów ghetta — wszystko to stanęło z powrotem przed naszymi oczyma.

W jednej chwili Warszawa znalazła się znowu w polskim ręku. Górujecie nad wrogiem moralnie, ale chwilowo jesteście słabsi uzbrojeniem. Lecz możecie liczyć na poparcie socjalistycznych demokratów całego świata w walce Waszej. Nie zaniedbamy niczego, by pośpieszyć Wam z pomocą wszystkimi środkami, jakie stoją do dyspozycji naszego międzynarodowego ruchu socjalistycznego. Gołymi rękami zdobywaliście niemieckie czołgi, Tygrysy i Pantery. Walczyliście na barykadach i w okopach, zamieniliście Ratusz i Zamek w fortece, skąd sztandar polski biało-czerwony powiewa w pełnej chwale.

Socjalizm międzynarodowy walczył zawsze o niepodległość Polski. Widział on w swych szeregach tak płomiennych obrońców tej niepodległości, jak nasz wielki nauczyciel, Karol Marx. Cokolwiek nastąpi, socjalizm międzynarodowy nie zawiedzie Was nigdy.

Spotykaliście się z niepowodzeniami; mogło też dojść do nieporozumień z innymi; ale nie zapominajcie, że świat stary jest w wirze wydarzeń i że poród nowego świata dokonywa się wśród ciężkich bólów. Lecz nic nie idzie na marne, świat zrozumie, że ta walka bohaterska, to wspaniałe i nieporównane poświęcenie Wasze, towarzysze, przyniesie plon dla wszystkich przyszłych pokoleń.

Apelujemy i nie przestaniemy apelować do sumienia wszystkich miłujących wolność narodów świata, by dały Wam pomoc, by poparły Was w Waszej walce i by w obliczu poległych zagwarantowały tym, co przeżyją, nietylko bezpieczeństwo, ale i lepszy byt.

Walka Wasza jest walką nas wszystkich. Alianci na wschodzie i na zachodzie uchwycili wspólnego wroga za gardło. Ludu polski, synowie Twoi walczyli w Norwegii, we Francji, w bitwie o Wielką Brytanię, w Afryce, we Włoszech, a teraz ponownie walczą we Francji; na siedmiu oceanach świata, wszędzie w powietrzu walczą Twoi synowie. Ty, ludu polski, nie możesz być opuszczony i nie będziesz opuszczony.

Zadnemu Piłatowi nie będzie wolno umyć rąk. Wiemy, że pragniecie pomocy i czynimy co w naszych siłach, abyście ją otrzymali. Nie upadajcie na duchu. Poruszymy sumienie świata, aby Wasze nieporównane bohaterstwo znalazło uznanie i zostało złotymi zgłoskami zapisane w dziejach Socjalizmu, Wolności i Swobody.

Marian Czuchnowski

WARSZAWO...

Znowu spadli na miasto bombami.
Znowu wpadli na czołgach w ulice.
Znowu. I znowu Mokotów się pali!
Miasto straszne, miasto-dynamit!
Jak długo, powiedz! Ilekroć? Któż znowu mury twe wali?
Kto znowu zatrzasnął twoje okiennice?

Ile razy można się zrywać?
Ile razy wychodzić na szaniec?
Świeże groby w nowe zaorywać?
I trwać. I bić się. Przegrywać i wstawać,
Padać i wstawać i się nie poddawać?!
Odpowiedz, miasto straszne, bezśmiertny powstaniec!

Żoliborz . . Wola . . . Szklane Domy . . . Sprawa . . .
Nawet nie ulic szukam, ani ludzi.
Mnie na nic ci z lewa i na nic ci z prawa.
Ja wiem, że Warszawa jeszcze nieraz się obudzi.

Ja wiem, że Warszawa nawet doszczętnie zburzona,
Gdzie ptak nad gruzami zakwilić nie może,
Ona i nie umarła i nie zginęła, jest tylko okrutnie zraniona
I zamyślona w strasznym, bezśmiertnym uporze.

A gdy mi trzeźwi zjadacze ziemniaków,
Chwalcy rosołu, rozsądku i chleba
Mówią, że "szkoda było", "nie warto", wiem, że było trzeba
Bić się do ostatniej wiązki granatów.

I wara wam, nikczemni i śmieszni,
Od moich ulic rozbitych bombami.
Od moich żywych i od mych umarłych,
Tu, tylokrotnie grzebanych pod mymi gruzami,
Których pociski jak sztandar podarły;
I schylcie tylko głowę przed nimi — współcześni.

Cienie stąpają i liście w Saskim Ogrodzie.
Cienie wstępują na Plac Teatralny.
Warszawa w płomieniach. Płomienie we wodzie
I nad Warszawą płomienie; nie Łuk Triumfalny.

Ale pamiętaj synu i ty późny wnuku:
Jeśli przyjdzie mi zamknąć po męsku mój okres tragiczny
I runę tak samo strzaskany na kamiennym bruku —
To chciałbym runąć, ale na twoim, Warszawo, zawziętym bruku ulicznym.

Po podróży Premiera

Podróż Prezesa Rady Ministrów, p. Mikołajczyka do Moskwy, była niewątpliwie ponownym wymownym wyrazem dążeń Rządu Polskiego do nawiązanie bezpośrednich rokowań z Rządem Sowieckim celem zabezpieczenia niepodległości i przyszłości Polski i umożliwienia Jej szybkiej odbudowy w możliwie normalnych warunkach.

Przedwcześnie jeszcze dziś podawać ocenę wyników tej podróży, która sama przez się stała się wydarzeniem politycznym.

W Moskwie obrano metodę przedstawiania t.zw. Komitetu Chełmskiego jako organizacji rywalizującej z Rządem i usiłowano twierdzić, że istotą zagadnienia jest osiągnięcie jedności wśród Polaków.

Dla każdego, choćby tylko trochę obznajomionego ze sytuacją w Polsce, jasnym jest, że Rząd Polski jest nietylko symbolem Państwowości ale, że jest reprezentantem i wykładnikiem stronnictw, skupiających olbrzymią większość społeczeństwa. Niema porozumienia z tą olbrzymią większością Polaków jak tylko przez uznanie tego stanu rzeczy i wyciągnięcie zeń właściwych konsekwencyj. Każde inne rozwiązanie będzie próbą rządzenia w Polsce wbrew woli społeczeństwa polskiego.

To stwierdzenie jest konieczne, by zamknąć sztucznie wywołaną dyskusję o potrzebie jedności wśród Polaków.

Konieczne jest dalsze stwierdzenie, że całe społeczeństwo polskie pragnie jak najbardziej szczerze i gorąco zgody, porozumienia i przyjaznych stosunków sąsiedzkich z Rosją Sowiecką, na dziś i na długie, długie lata w przyszłości.

Zorganizowane siły społeczeństwa polskiego wolę tę manifestują codziennie czynem, prowadząc nieugiętą walkę ze wspólnym wrogiem i udzielając Armii Czerwonej codziennie w najtrudniejszych warunkach wszelkiej pomocy, nie szczędząc krwi najlepszych synów Polski.

Powstanie w Warszawie — na tyłach wojsk niemieckich — jest niewątpliwie wyrazem dążenia do Niepodległości, okupywanej niezmiernymi ofiarami, wyrazem woli walki w imię praw Narodu i Państwa Polskiego, ale zarazem aktem czynnej pomocy udzielanej wojskom sowieckim, walczącym na przedpolach Warszawy.

W czasie, gdy Niemcy zdolni byli każdą próbę powstania zatopić we krwi w ciągu kilkunastu godzin, nawoływali do powstania ci, którzy je dziś uznają za niewczesne i "polityczne". Bohaterowie Warszawy, z górą dwa tygodnie wiążą poważne siły niemieckie i walką na tyłach utrudniają niemiecką kontrofensywę. Nie chcemy się wdawać w ocenę strategicznej wartości powstania, ale sądzimy, że uczciwy człowiek nie zdoła zaprzeczyć, że społeczeństwo polskie uczyniło najwyższy, nadludzki wysiłek, aby przyczynić się do możliwie najrychlejszego wypędzenia Niemców z Polski i przyśpieszenia ich klęski.

Walczący żołnierze Warszawy to krew z krwi i kość z kości społeczeństwa polskiego, to polscy robotnicy, chłopi lub synowie chłopscy, inteligenci, młodzież. Są oni oczywiście-wyrazem dążeń środowisk, które się z walczącymi solidaryzują. Niespornem jest, że bohaterowie warszawcy są żołnierzami Armii Krajowej, działającej w porozumieniu z Delegatem Rządu i Radą Jedności Narodowej. Stąd powstanie warszawskie, będące przedewszystkiem czynem zbiorowym Polaków walczących o swą niepodległość, stało się także świadectwem kogo Naród Polski uważa za swe przedstawicielstwo.

/g./

CO PISAŁ KRAJ

w rocznicę drugiej bitwy o Warszawę

"Robotnik w Walce" zamieszcza w numerze z dn. 7 maja 1944 r. nast. artykuł poswięcony rocznicy bitwy o Ghetto t.zw. drugiej bitwy o Warszawę:

Mija rok, jak Niemcy przeprowadzali potworną akcję masowych morderstw, nazwaną likwidacją ghetta. I oto przed zdumionym i wstrząśniętym do głębi społeczeństwem polskim, a potem w świadomości całego świata stał się fakt w dziejach bodaj jedyny. Masy żydowskie, mimo zmaltretowania, mimo najbardziej wyrafinowanych metod moralnego zniszczenia, stosowanych przez Niemców za murami ghetta systematycznie w ciągu z górą dwóch lat, wydobyły z siebie heroizm największy, heroizm walki beznadziejnej, walki, płynącej z dumy człowieczeństwa: umierać wolnym. Nagle domy i warsztaty ghetta warszawskiego zamieniły się w bunkry oporu, zabrzmiały strzały, rozległ się łoskot pękających granatów, polała się krew niemieckich oprawców, idących zabijać bezbronnych.

Na czele żydowskich organizacji bojowych stanął inżynier Michał Klepfisz, członek "Bundu" i wraz z towarzyszami dokazał prawdziwego cudu — wielodniowego oporu wobec całej potęgi niemieckiej. Obecnie w rocznicę tej walki, która rozpłomieniła następne ośrodki oporu w innych ghettach, przypominamy że w momencie rozpoczęcia walki wydaliśmy odezwę, wyrażającą solidarność z walczącymi robotnikami żydowskimi i podkreślając, że bohaterski opór bojowców ghetta wytworzy silne ogniwo wspólnoty walki polskiego i żydowskiego społeczeństwa. Tak się też stało.

PROF. MANFRED KRIDL

O tak zwanej polityce realistycznej

Poniższy artykuł umieszczony był w "Związkowcu" wydawanym w Toronto w Kanadzie. Sądzimy, że czytelników naszych zainteresują poglądy znakomitego uczonego a zarazem nieposzlakowanego demokraty.

Prasa aljancka różnych odcieni rozbrzmiewa od dawna rozważaniami na temat polityki "realistycznej". Mówi się wprawdzie dużo o "ideałach", za które walczą Narody Zjednoczone, ale równocześnie zwraca się uwagę, że owe ideały nie mogą być brane zbyt *dosłownie*, że muszą być przystosowywane do warunków i okoliczności, słowem nie mają być — wbrew istotnemu znaczeniu słowa: ideał — zbyt "idealistyczne", powinny natomiast raczej "sięgnąć bruku" /według określenia Norwida w wierszu *Fortepjan Szopena*/ — czyli w rezultacie zbrukać się nieco.

W takiem stawianiu sprawy jest sporo zdrowego rozsądku i zmysłu rzeczywistości, ale też sporo, a może i więcej obłudy i wycofania się z pierwotnych pozycyj ideowych. Jest pozatem opaczne pojęcie "realizmu", utożsamianie go z oportunizmem, z chwilowemi konjunkturami; co więcej, zdradza się i bałwochwalcza cześć dla siły fizycznej, liczenie się z "faktami" bez względu na ich znaczenie i wartość, propagowanie bierności wobec tych faktów, a nawet zgody na nie. To wszystko sprawia, że pojęcie "realizmu" w polityce kurczy się ogromnie, przestaje być metodą polityczną, obliczoną na dłuższą metę, a wyradza się w program chwytania i trzymania się chwilowych korzyści, maskowania istotnych tendencyj, wstydliwego przemilczania zmiany kursu politycznego przy równoczesnem operowaniu bardzo wzniosłemi, ale ogólnikowemi hasłami.

Nie ulega wątpliwości, że wszelka polityka musi być "realistyczna", t.j. licząca się z rzeczywistością, a nie bujająca w obłokach. Ale w tem liczeniu się z rzeczywistością są pewne *granice*, których przekraczać nie wolno, właśnie w imię dalej sięgającego i przewidującego realizmu. Uznawanie i co gorsza, poddawanie się *wszelkiej* rzeczywistości bez względu na to, jaka ona jest, przestaje być realizmem, a staje się ucieczką od odpowiedzialności za to, wśród jakiej rzeczywistości żyjemy, a zaprzeczaniem prawa do walki ze złem. Gdy Polska w lecie r. 1939 znalazła się w obliczu wojny z Niemcami, realizm oportunistyczny nakazywałby liczenie się z faktem dziesięciokrotnej przewagi militarnej niemieckiej, z faktem beznadziejności podejmowania walki w takich warunkach, nakazywałby więc w konsekwencji — kapitulację przed Hitlerem, czyli pójście śladami Czechów. Pominąwszy jednak stronę moralną takiej kapitulacji i jej skutki dla rozwoju zdarzeń w Europie, a może i na całym świecie — nietylko honor napadniętego narodu, ale istotnie *realistyczna* /nie "konjunkturalna"!/ ocena ówczesnej sytuacji skłoniła instynkt narodowy do podjęcia tej rozpaczliwej i beznadziejnej walki, bo naród wiedział i czuł, że jedno ustępstwo Hitlerowi musi z konieczności pociągnąć za sobą szereg następnych, aż do rozciągnięcia nad Polską conajmniej "protektoratu" na wzór czeski. W podobnej sytuacji, choć niewątpliwie znacznie lepszej, znajdowała się Anglja w roku 1940, po kapitulacji Francji. Gdyby wówczas naród angielski kierował się "realizmem na krótką metę, niewątpliwie rozpocząłby rokowania z Hitlerem o pokój kompromisowy. Nie chciał jednak liczyć się z faktami dokonanemi, ale wykazał niezłomną wolę *walki* z temi faktami. Przyszłość okazała, że taki właśnie "realizm" był zbawienny. Podobnych przykładów możnaby zacytować więcej.

Wśród propagujących "realizm" publicystów aljanckich jest wielu takich, którzy wpadają w iście cielęcy zachwyt nad polityką sowiecką. Jedni obejmują tym chwytem cały okres tej polityki od r. 1939, a więc także pakt z Niemcami, zagrabienie wschodniej Polski i krajów bałtyckich, wszelkie łamanie słów i darcie traktatów — inni, posiadający jeszcze jakieś skrupuły moralne albo proste poczucie przyzwoitości, ograniczają się do sławienia tego okresu działalności rządu sowieckiego, kiedy został on zmuszony do wzięcia udziału w wojnie i nagle stał się mimowolnym sojusznikiem demokracyj, walczących z Niemcami. Polityka sowiecka przedstawiana jest przez tych ludzi jako wzór "realizmu", i stawiana jest za przykład innym, nawet Ameryce i Anglji, nie mówiąc już o tak zwanych "małych narodach". Tutaj obserwować możemy to samo pomieszanie pojęć, jakie widzieliśmy w przykładach powyżej przytoczonych. Polityka sowiecka bowiem jest typowo krótkowzroczna, konjunkturalna, obliczona na bardzo krótką metę i na chwilowe korzyści — że ograniczymy się tylko do tych określeń, zostawiając na boku kwalifikowanie jej z punktu widzenia moralnego. Chcemy zostać na gruncie realizmu i na tym gruncie wykazać, że polityka ta wcale nie jest realistyczna, bo jest szkodliwa *dla samej Rosji*, dla jej przyszłości, dla jej przyszłego stanowiska w świecie. Weźmy choćby przykład jej stosunku do Polski. Nie bawmy się przytem w żadne "ideały", ani nie używajmy wysoko brzmiących słów o bezpieczeństwie Rosji, o granicach strategicznych, o "wyzwalaniu" Ukraińców i Białorusinów i t.p., bo to są wszystko hasła, wynalezione w tym celu, aby — jak się mówi po rosyjsku — "pustit' pyl w głaza" /zasypać piaskiem oczy/. Jaka więc byłaby istotnie, a nie krótkowzrocznie i oportunistycznie realistyczna polityka sowiecka wobec Polski, począwszy od roku 1939? Jeżeli Rosji istotnie chodziło i chodzi — jak o tem głosi obecnie cały świat — o stworzenie na swoich zachodnich granicach wieńca państw "przyjacielskich", to przecież czystem szaleństwem było postępowac tak, jak władze sowieckie postępowały w r. 1939 — 1941 na ziemiach polskich i bałtyckich! Jeżeli nawet przyjmiemy, jako "konieczność strategiczną" okupowanie tych ziem /konieczność, zresztą, mocno wątpliwą, skoro armja sowiecka wycofała się z nich w ciągu kilku dni zaledwie i nie oparła się aż pod Moskwą/, to czyż istotnie niemożliwem i "nierealistycznem" było zyskać sobie przychylność a nawet wdzięczność ludności tych ziem przez przyzwoite i ludzkie postępowanie z nią? Czyż przyjaźń zdobywa się przez terror, areszty, deportacje, zsyłki, wyroki śmierci, grabienie mienia cudzego, gwałtem wymuszone plebiscyty? Jeżeli to się nazywa "realizmem", to jest to metoda, jakby umyślnie wynaleziona, aby zniweczyć cel, który zamierzało się osiągnąć. Jest to metoda prymitywna i barbarzyńska, nietylko w znaczeniu moralnem, ale i z punktu widzenia skuteczności — metoda brania, łapania, zagarniania, grabienia, co się da bez względu na skutki, jakie to za sobą pociągnie, i bez względu nawet na możliwość utrzymania zdobyczy. Metoda ta utrudniała potem niesłychanie pracę tym politykom polskim, którzy szczerze pragną porozumienia z Rosją /choć, oczywiście, nie za wszelką cenę/, bo przyjaźń, jakiej wymaga Rosja, nie da się narodowi polskiemu narzucić dekretem rządowym — przyjaźń jest czemś, na co trzeba sobie w taki lub inny sposób zasłużyć. Jak zaś Rosja starała się o przyjaźń z Polską w tym czasie i jak stara się obecnie?

Ten jeden przykład wystarczyłby dla udowodnienia, że "realizm" sowiecki osiąga skutki wprost przeciwne od zamierzonych. Można, coprawda mieć wątpliwości czy takie były i są istotne zamierzenia rządu sowieckiego, czy jego deklamacje o przyjaźni nie są takim samym pozorem, jak wszelkie inne deklamacje, n.p. o walce za demokrację, wolność, pokój i t.p. Ale i w takim wypadku "realizm" jego nie ma nic wspólnego z szerszą, przewidującą głębiej, na długie czasy obliczoną polityką. Bo przypuśćmy nawet, że Rosja potrafi zatrzymać wszystkie te zdobycze terytorjalne, jakie posiadała aż do wojny z Niemcami /co w obecnej sytuacji nie jest bynajmniej wykluczone/, że własną wolą i prawem siły zajmie na nowo wschodnie ziemie polskie. Czy "realiści" sowieccy nie zdają sobie sprawy z tego, że zamiast zabezpieczyć się od Zachodu, tworzą wówczas własnemi rękami zarzewie wiecznych niepokojów i zamieszek na swoich zachodnich granicach? Czy przypuszczają, że owa "silna i niepodległa Polska", wyparta gwałtem poza "linję Curzona", zapomni tak łatwo o swoich dzieciach ze Wschodu, o ziemi Kościuszków, Mickiewiczów, Słowackich, o takich ogniskach kultury polskiej, jak Lwów i Wilno? Takie przypuszczenia byłyby już nietylko nierealistyczne, ale wprost fantastyczne. I to jest właśnie charakterystyczne, że tego typu "realiści" często opierają się na fantasmagorjach, że nie widzą wokół siebie rzeczywistości, widocznej dla każdego normalnego człowieka. Jakiż stąd wniosek? Ten tylko, że polityka sowiecka, tak jak się ona obecnie przedstawia, nie wybiega wcale w przyszłość, nie liczy się z następstwami swoich chwilowych korzyści, może więc być słusznie podejrzywana o to, że wcale nie dąży do istotnego i trwałego pokoju na świecie, a tylko pragnie, korzystając z konjunktury, przywłaszczyć sobie, ile się da, i nie dbać o resztę. A ta reszta, to są żywe i cierpiące narody, to jest opinja publiczna Europy zachodniej i Ameryki, to jest cała cywilizacja zachodnia i podstawy na których się ona rozwinęła. Czy taką politykę można nazwać realistyczną? Czy raczej nie coś przeciwnego zasługuje na tę nazwę, a mianowicie istotnie przyjazny i ludzki stosunek do swoich sąsiadów, wyrzeczenie się przemocy i gwałtu, dobra wola w staraniu się o polubowne załatwienie kwestyj spornych, zyskanie sobie zaufania i szacunku, które zabezpieczają bardziej i trwalej, niż sztuczne granice "strategiczne"?

Swoją drogą obecna polityka sowiecka może czerpać otuchę i podnietę z stanowiska jej potężnych aljantów. Stanowisko to również określane bywa jako mocno "realistyczne", liczące się z potęgą Rosji, jej zasługami dla sprawy gromienia Niemców i t.p. Ale i ten realizm kryje w sobie duże niebezpieczeństwa i może w rezultacie zniweczyć cele ogólniejsze, dla których mocarstwa te wystąpiły do walki. Zapomina się bowiem o tem, że zniszczenie Hitlera i Niemców nie jest bynajmniej celem ostatecznym tych straszliwych, pięć lat Bęprawie już trwających zapasów. Będzie to dopiero początek zwycięstwa, po którem powinno przyjść zwycięstwo nowe, daleko bardziej ważne i istotne: organizacja nowego świata. Jakżeż się ta organizacja dokona i *przez kogo*, jeżeli się dziś w przededniu spodziewanego zwycięstwa militarnego przymyka oczy, toleruje, a nawet bezpośrednio lub pośrednio popiera tendencje polityczne Sowietów, mówi się o "przystosowywaniu" Karty Atlantyckiej, połyka się milczkiem i bez protestu nietylko zupełne nieliczenie się rządu sowieckiego z opinją Aljantów, ale różne jego aroganckie wystąpienia, odrzucanie rad i pośrednictwa, mieszanie się bezceremonjalne do spraw wewnętrznych Ameryki i Anglji i t.p., czegoby z pewnością nie tolerowano w stosunku do żadnego innego rządu. Taki "realizm" może okazać się w przyszłości bardzo kosztowny dla możnych sojuszników Rosji, nie mówiąc już o kosztach, które zapłacić może za to Europa, szczególnie środkowa i wschodnia, o którą wszakże rozpoczęło się tę wojnę.

Wybory Prezydenta U.S.A.

Stanowisko socjalistów polskich w Ameryce

Nowojorski tygodnik "Robotnik Polski", organ Związku Socjalistów Polskich w Stanach Zjednoczonych Ameryki, pisze:

Na konwencji Partji Republikańskiej odbytej w ostatnim tygodniu czerwca 1944 roku w Chicago, Ill., nominowany został kandydatem na Prezydenta Stanów Zjednoczonych, Thomas Edmund Dewey, gubernator stanu New Yorku, a na Wice-Prezydenta John William Bricker, gubernator stanu Ohio.

Nominacja gubernatora T. E. Dewey, na kandydata na prezydenta Stanów Zjednoczonych nie była dla nas niespodzianką. Przeciwnie, byliśmy na kandydaturę Dewey'a przygotowani. Tembardziej, gdy Wendell Wilkie, po próbnych wyborach w stanie Wisconsin, wycofał swoją kandydaturę, było już pewne, że jedynym kandydatem w Partji Republikańskiej — na Prezydenta Stanów Zjednoczonych, pozostał Thomas Edmund Dewey.

Poza nominacją, zwyczajną formalistyką — mianowania kandydatem na Prezydenta i Wice-Prezydenta, nic poważnego na konwencji Partji Republikańskiej nie zaszło.

Dawniej i dziś Partja Republikańska, trzyma się starych, przeżytych formułek konserwatywnych. Wszystko co było i jest nowe, dobre i pożyteczne dla większości obywateli, szarego zapomnianego człowieka, Partja Republikańska z zasady zwalczała i dalej zawzięcie zwalcza.

Dzisiejszy konserwatyzm Partji Republikańskiej wyrażony został w licznych przemówieniach czołowych osobistości, członków partji na Konwencji. Przemawiał również p. Martin, przewodniczący konwencji, który jasno i wyraźnie zaatakował "NOWY ŁAD", który, zdaniem jego, prowadzi nasz Naród do FASZYZMU.

Herbert Hoover, b. Prezydent Stanów Zjednoczonych powiedział: MUSIMY WALCZYĆ O WOLNOŚĆ OSOBISTĄ, ponieważ grozi jej katastrofa. Natomiast nowomianowany kandydat przez Partję Republikańską — Thomas Edmund Dewey, rzucił w wir walki wyborczej hasło: BĘDZIEMY WALCZYĆ O ODRODZENIE NARODOWE.

Slogany są jasne i wyraźne. Wszystko pójdzie przeciwko Prezydentowi Rooseveltowi. Partja Republikańska jakby wzoruje się na jednym z artykułów "Nowego Świata", w którym pisano, że dla Partji Republikańskiej pozostała tylko jedyna droga, droga nieustannej ofensywy.

Atak nastąpił. Partja Republikańska coraz bardziej mobilizuje swoje siły. Na front wysuwa młodych, ruchliwych, zdecydowanych ludzi. Uderzenia będą silne, które nie ulega już wątpliwości uczynione będą w odpowiedniej chwili, ze wszystkich stron.

Tegoroczna kampanja wyborcza będzie jedną z największych, najoryginalniejszych kampanji w historji Stanów Zjednoczonych. Republikanie poruszą wszystkie swoje siły. Siły demokratyczne, skupione przy Prezydencie Roosevelcie nie pozostaną bierne.

Najważniejsze, najmocniejsze ataki na Prezydenta Roosevelta, zostały już sformułowane w przemówieniach Martina, Hoovera i Deweya. Dla nas, którzy mieliśmy to szczęście, że przeżyliśmy 12 lat z rzędu rządzenia Partji Republikańskiej — od 1920 r. do 1932 r., możemy objektywnie stwierdzić, że wszystkie trzy przemówienia — Martina, Hoovera i Deweya, są dziwne, opaczne i naiwne.

Faktem było, jest i pozostanie, że w okresie 12 lat rządzenia Partji Republikańskiej byliśmy świadkami niesamowitych codziennych wypadków, które zbyt mocno pozostały w naszej pamięci. Do tych wypadków, za republikańskich rządów, m.in. należą: NĘDZA, GŁÓD, BANKRUCTWO BANKÓW, RABOWANIE OSZCZĘDZONYCH PIENIĘDZY, KRYZYS EKONOMICZNY, KULE DLA WETERANÓW, PAŁKI I KULE DLA STRAJKUJĄCYCH ROBOTNIKÓW, ANTAGONIZM DO OBCOKRAJOWCÓW.

Wiemy, że im bliżej będziemy zbliżać się do wyborów, tembardziej będą wzmocnione, ostrzejsze ataki na Prezydenta Roosevelta. Republikanie zapominają o jednej ważnej, zasadniczej sile, która w tych wyborach prawdopodobnie będzie nietylko "języczkiem" u wagi, ale przerzuceniem sił na stronę swego kandydata, który w okresie dwunastu lat rządzenia, wykazał i dowiódł, że zasługuje na pełne zaufanie i poparcie:

Dzień wyborów, dzień 7-go listopada 1944 roku, bezwątpienia wykaże uświadomienie, klasowe i polityczne, szerokich mas robotniczych, które staną do urn wyborczych i zadecydują o wyborze Prezydenta i Wice-Prezydenta Stanów Zjednoczonych na następne CZTERY LATA.

NA HORYZONCIE

Zakamarki Afryki

Rząd Marsz. Smutsa w Południowej Afryce wydał polecenie, które wyda się naszym czytelnikom zupełnie naturalne. Mianowicie polecił, aby w urzędowej korespondencji wysyłanej do murzynów były użyte zwykłe formy grzecznościowe "Sir" lub "Madam", a na kopertach "Mr." lub "Mrs." Z tego powodu wybuchła straszna burza wśród białych. Departament pensji, który jest najbardziej "dotknięty" tym zarządzeniem, przeżył małe przesilenie. Czterech wyższych urzędników i 19 urzędniczek podało się do dymisji, nie mogąc się pogodzić z poleceniem formalnego traktowania murzynów, stanowiących zresztą 80% mieszkańców państwa, jako równych sobie. Nacjonaliści zwołują specjalne wiece protestacyjne . . .

Nauczony gorzkim doświadczeniem rząd Smutsa w nowej ustawie o ubezpieczeniach społecznych był już ostrożniejszy. Południowo-Afrykański Beveridge dzieli ludność na trzy klasy: białych, kolorowych, t.j. Chińczyków i Hindusów, oraz murzynów. Przy tych samych wypadkach Hindusi i Chińczycy dostają mniej niż biali, a murzyni mniej niż Hindusi i Chińczycy. Gdy jednak murzyn przekracza pewną kategorię dochodów może być traktowany w tej samej skali jak Hindus lub Chińczyk, a gdy Hindus jest bardzo bogaty, może być traktowany w tej samej skali jak biali. W ten sposób najbiedniejsi dostają według tego schematu najmniej pomocy, a najbogatsi najwięcej.

Nawiasem zaznaczymy, że murzynom nie wolno w Południowej Afryce wchodzić do sklepów dla białych, restauracji, kin a w autobusach, tramwajach i kolejach mają specjalnie zarezerwowane miejsca.

W Ameryce widocznie nie jest lepiej

Sytuacja murzynów w Ameryce jest nieco lepsza niż w Południowej Afryce, a w ciągu tej wojny uległa nawet znacznemu polepszeniu. Ale wciąż jest bardzo daleka od równouprawnienia.

W ostatnich dniach mieliśmy jaskrawy dowód tego wciąż żywego uprzedzenia do murzynów w Ameryce. W Filadelfii wybuchł strajk robotników transportowych jedynie dlatego, że miano zatrudnić sześciu czy siedmiu murzynów jako kierowców. Lokalny związek transportowców mimo ostrego sprzeciwu centrali C.I.O. oświadczył, że jest zdecydowany sparaliżować raczej cały transport niż współpracować z murzynami. Doszło przytem do burzliwych starć między białymi a murzynami w wyniku których poraniono kilkadziesiąt osób a kilkaset aresztowano. Niepoczytalna ta akcja wstrzymała 70% dostaw miejscowych dla marynarki i sparaliżowała 50% produkcji dla armii. Transport przejęło wojsko, ale 3.000 członków Związku oświadczyło, że raczej pójdzie do więzienia, niż zgodzi się na współpracę z murzynami. Na szczęście Prez. Roosevelt nie przestraszył się tej anty-murzyńskiej kołtunerii a jego energiczne zarządzenia przywróciły pracę w porcie, przyczem murzyni będą zatrudnieni, a większość robotników wróciła jednak do pracy.

Bardzo charakterystyczna i świetnie określająca położenie murzynów w Ameryce była odpowiedź małej dziewczynki murzyńskiej w Los Angeles na pytanie w szkole "co zrobić z Hitlerem". Należy — zaproponowała dziewczynka — włożyć Hitlerowi czarną skórę i zmusić go do spędzenia reszty swego życia w Ameryce . . .

Green ostrzega przed odstępstwem od demokracji

Prezydent "American Federation of Labor", William Green, przemawiając w Bostonie na dorocznej konwencji "International Ladies' Garment Workers" oświadczył, iż z radością powitał zapowiedź Prez. Roosevelta, że Stany Zjednoczone poczynią odpowiednie kroki celem uzupełnienia deklaracji moskiewskiej o międzynarodowej organizacji gwarantującej pokój świata.

"Naród amerykański" mówił Green, "obstaje silnie przy tym, by międzynarodowe decyzje dotyczące zmian terytorjalnych i innych problemów związanych ściśle z pokojem światowym nie zapadły jednostronnie, ale były następstwem ogólnego porozumienia narodów przy przestrzeganiu haseł sprawiedliwości.

My, członkowie Amer. Federacji Pracy, mówił dalej Green, podziwiamy Rosję za sposób, w jaki prowadzi ona wojnę z Hitlerem, za dzielność i wysiłek narodu rosyjskiego. Członkowie naszych unij kosztem najwyższych ofiar produkują olbrzymie ilości materjału wojennego, wysyłanego do Rosji Sowieckiej, materjału, bez którego, jak Stalin sam przyznał, nie można byłoby wywalczyć zwycięstwa.

Zdając sobie sprawę z długu wdzięczności dla Rosji Sowieckiej, nie uważamy jednak za słuszne, by cała Europa miała ulec sowietyzacji, po zakończeniu obecnej wojny. Wierzymy nadal, że każdy naród europejski winien być panem własnego pokojowego i demokratycznego przeznaczenia bez narzucania mu statusu marjonetkowego państwa. Z własnego doświadczenia wiemy, że w wypadkach przejmowania przez komunistów kontroli nad związkami zawodowemi, zamierają demokratyczne korzenie tychże związków".

250 lat "Bank of England"

Dnia 27-go lipca r.b. minęło 250 lat od chwili założenia jednego z największych i najsłynniejszych banków świata "Bank of England". Jak wszystko w Anglii, zmiany w charakterze tego banku były raczej ograniczone i bank wciąż działa na podstawie "Charteru" podpisanego dnia 27-go lipca 1694 roku za rządów Williama i Mary.

Kapitał zakładowy banku określono wówczas na 1.200.000 funtów.

/Dokończenie obok/

Subskrypcja pokryła jednak tylko 300.000 funtów, dopiero w sześć miesięcy później udało się skompletować wymienioną sumę. Jeszcze przed upływem roku bank pożyczył rządowi swoje 1.200.000 funtów koniecznych dla sfinansowania wojny z Ludwikiem XIV. Za pożyczkę rząd obiecał bankowi £100.000 procentów rocznie /t.j. 8%/ plus £4.000 wydatków administracyjnych. Ale upłynęło prawie 100 lat zanim rząd wywiązał się ze swych długów i spłacił tę sumę. Oczywiście bank odegrał także olbrzymią rolę przy finansowaniu wojny z Napoleonem.

Bank angielski jest pierwszym i najsłynniejszym z banków centralnych świata. Obecnie Bank of England jest jedynym bankierem rządu Wielkiej Brytanii, jedynym bankiem emisyjnym Anglii i Walii /Szkocja ma oddzielny bank emisyjny, założony w rok później, t.j. w 1695 r./, regulatorem wielkiego brytyjskiego systemu bankowego i londyńskiego rynku pieniężnego. Wpływ Banku na życie ekonomiczne wielkiego imperium jest przemożny i jego dyrektorzy są prawdziwymi dyktatorami finansowego rynku. Bank-oczywiście-stoi na straży czystko-kapitalistycznej gospodarki.

Najsłynniejszym z dyrektorów tego banku jest Sir Montagu Norman, który zanotował niezwykły rekord 25 lat rządów w Banku Anglii. Normalnie dyrektorzy tego banku urzędują tylko 5 lat.

"STANISŁAW"

We wtorek 18 lipca 1944 r. szary, niepozorny człowiek opuścił mury miasta Warszawy. Przemykając się pomiędzy niemieckiemi posterunkami, skierował swe kroki na południe. Na krańcach stolicy, na jednym z robotniczych przedmieść, spotkał starą babinę. Szeptem wymienili ze sobą hasło. "A więc to on". Babina poprowadziła siwego mężczyznę dalej ścieżkami polnymi.

W dwa tygodnie później, siwy człowiek stał między nami w Londynie. Był to Tomasz Arciszewski. Od dziesiątków lat, robotnicy w Polsce zwali go "Stanisław". My tutaj będziemy go też tak nazywali.

Urodził się 12 listopada 1877 r. w Sierzchowie. Ojciec jego Mikołaj, pochodził z Witebszczyzny i brał udział w powstaniu 1863 r. Po upadku powstania musiał opuścić rodzinne strony i osiedlić się w Kongresówce. Matka Stanisława była córką powstańca 1831 r. W domu zatem panowała tradycja niepodległościowa, ale nie szlachecka. Stanisław od swych dziecięcych lat pracował ciężko na życie jako robotnik.

Młody socjalista

Miał lat dziesięć, gdy zaczął pracować w garbarni. W trzynastym roku życia rozpoczął praktykę w warsztatach mechanicznych w Radomiu. Praca trwała 14 godzin dziennie i Arciszewski zetknął się poraz pierwszy z rzeczywistością walki robotniczej o poprawę bytu: brał udział w strajku o polepszenie warunków pracy. Od roku 1894 pracował w fabryce Fitznera i Gampera w Sosnowcu jako kotlarz. Nie utrzymał się tam w pracy ani przez jeden rok, zainicjował strajk i został wydalony z fabryki. Przeszedł do Huty Katarzyny, gdzie pracował przy piecach w walcowni, a potem w warsztatach mechanicznych przez trzy lata, utrzymują matkę, brata i siostrę. W r. 1896 wstąpił do podziemnej Polskiej Partji Socjalistycznej — na całe życie. W partji przybrał pseudonim "Siłacz".

W r. 1898 organizował pierwszą w Zagłębiu Dąbrowskim manifestację 1-majową. Wraz z Woszczyńskim przeprowadził wśród robotników agitację za przybyciem na zgromadzenie ludowe w parku Sieleckim. Policja i wojsko zamknęły park, wobec czego robotnicy uformowali pochód i ze śpiewem "Czerwonego Sztandaru" na ustach ruszyli ulicami miasta na Pogoń. Na drzewach tego dnia zawieszono wiele sztandarów czerwonych z rewolucyjnemi napisami. Manifestacja udała się wspaniale i zaniepokoiła władze carskie, zarządzono na ślepo liczne aresztowania robotników, ale zdrajców nie było i Arciszewski uniknął więzienia.

Jesienią tegoż roku, Arciszewski znowu razem z Woszczyńskim, urządził obchód mickiewiczowski. Tym razem jednak na obchodzie znalazł się zdrajca — prowokator Błach z Częstochowy, który sprowadził policję i żandarmerję. Woszczyńskiego aresztowano. Arciszewski był wzywany na śledztwo. Miejscowa organizacja uchwaliła, że Arciszewski ma natychmiast wyjechać zagranicę, zaś wszyscy aresztowani mają składać zeznania, że na obchód zaprosił ich Arciszewski. W ten sposób wszyscy się ocalą. Tak się też stało.

8 lat życia podziemnego

Arciszewski wyjechał do Londynu, gdzie podówczas znajdował się duży ośrodek emigracyjny P.P.S. i drukarnia wydawnictw partyjnych. Po trzech miesiącach przeniósł się do Bremy, gdzie pracował w stoczni okrętowej. Minął rok. Na początku 1900 r. zwrócił się do sekretarjatu zagranicznego P.P.S. z żądaniem wysłania go z powrotem do kraju. Polecono mu wracać do Zagłębia Dąbrowskiego i odbudować organizację rozbitą carskiemi aresztowaniami. Jakoż wraca, pracuje w fabryce maszyn w Niwce i razem z Montwiłłem-Mireckim przystępuje do tworzenia organizacji zagłębiowskiej. W sierpniu 1900 Arciszewski wydał odezwę z powodu strajku w fabryce. Został aresztowany i osadzony w wiezieniu w Piotrkowie. Po 3½ miesiącach został zwolniony z więzienia i wysłany pod nadzór policyjny do wsi Radzanowa w Radomskim. Tam pracował zarobkowo, ale potajemnie nawiązał znowu kontakty partyjne i w styczniu 1901 wyjechał pokryjomu do Zagłębia po "bibułę". Osaczony w nocy przez żandarmów wymknął się jednak z ich rąk, pojechał do Radomia, tu jednak szczęście mu nie sprzyjało: został natychmiast aresztowany i skazany decyzją departamentu policji na 8 miesięcy więzienia i 2 lata nadzoru policyjnego.

Gdy wyrok odsiedział, nie odzyskał bynajmniej wolności. Przewieziono go do więzienia piotrkowskiego. Tam brał udział w dwóch walkach przeciw nieludzkiemu traktowaniu więźniów politycznych. Jedna z tych walk, to był dziewięciodniowy strajk głodowy, druga walka polegała na nieprzyjmowaniu jedzenia gotowanego przez miesiąc. W czasie tej drugiej akcji Arciszewski uderzył w twarz naczelnika żandarmerji Krzyżanowskiego. W kwietniu 1903 zwolniono Arciszewskiego z więzienia, oddając go pod nadzór policyjny. Wrócił do Sosnowca, pracował zarobkowo w Niwce, jednocześnie stając z powrotem do podziemnej pracy organizacyjnej w szeregach P.P.S. Niedługo to trwało. Został ostrzeżony potajemnie, że grozi mu aresztowanie i zesłanie na 3 lata do Archangielska. Uciekł więc do Częstochowy, tam otrzymał fałszywy paszport i odtąd bez przerwy przez ośm lat żył życiem "nielegalnika". Wtedy to przybrał pseudonim "Stanisław", pod którym od tej pory znany jest przez robotników całej Polski. Partja wysłała go jako emisarjusza do Łodzi. Odbudował tam organizację partyjną, stopniowo obejmując swą pracą Pabjanice, Zgierz, Kalisz, Ozorków, Zduńską Wolę, Łask, Sieradz, Kutnowskie i Kaliskie. Było to twarde życie: dwa tygodnie w Łodzi, dwa tygodnie w pieszych wędrówkach na prowincji — i tak przez całe lata.

W pierwszym szeregu rewolucji przeciw caratowi

Aż nadszedł wielki czas rewolucji 1905 roku. Stanisław należy do najwspanialszych postaci z owego szeregu "ludzi podziemnych", których opiewała potem polska powieść i poezja. Tropiony i ścigany z miejsca na miejsce, niesie w szeregi robotnicze zapał i wiarę w zwycięstwo, a w szeregi wroga — postrach. Jesienią 1904 Stanisław organizuje w szeregu miast manifestacje przeciw poborowi do wojska rosyjskiego. Na jednej z nich, w styczniu 1905, komisarz policji rosyjskiej Szatałowicz zastrzelił chorążego pochodu tow. Książczyka — i kopnął trupa. Stanisław zaprzysiągł pomstę nikczemnikowi. Jakoż Szatałowicz zginął wkrótce potym od wybuchu bomby w zamachu, zorganizowanym przez Stanisława. Tak Stanisław bronił honoru swych towarzyszów i honoru czerwonego sztandaru.

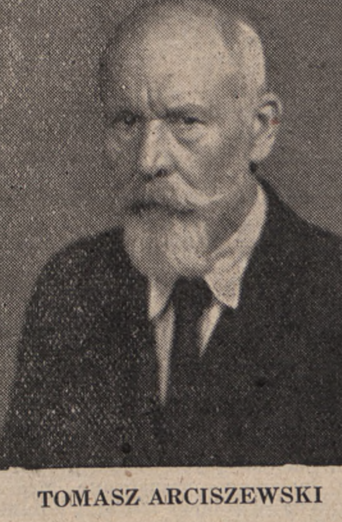
Wiosną 1905 na terenie, na którym przez lata prowadził Stanisław swą pracę podziemną, w Łęczyckim, wybucha samorzutne powstanie chłopskie. Aby przeszkodzić wysyłaniu poborowych Polaków do armii rosyjskiej, Stanisław organizuje kilka zamachów na mosty kolejowe. Organizuje też zamachy na carskie kasy powiatowe. Lecz wróg czuwa. Po manifestacji 1-majowej 1905 Stanisław został rozkonspirowany, partja przenosi go więc w inne znowu strony. Tworzy organizację w Siedlcach, Mińsku Mazowieckim, Sokołowie, Węgrowie, jesienią 1905 przerzuca się do Białegostoku, a potem jedzie do Krakowa na kursy instruktorskie Organizacji Bojowej P.P.S.

Powraca do Kongresówki za fałszywym pruskim paszportem. Na granicy aresztowali go żandarmi rosyjscy i odwieźli do pruskiego więzienia w Mysłowicach. Stanisław wyprowadza pruskich prześladówców w pole — podaje się za austrjackiego poddanego, po dwumiesięcznym więzieniu odwożą go więc do Galicji, a tam już wydobywa się na wolność i jedzie — oczywiście nielegalnie — do Warszawy. Tam działał jako instruktor Organizacji Bojowej P.P.S. okręgu warszawskiego /zastępca okręgowca/ a później — Warszawy podmiejskiej /okręgowiec/ Następuje zamach po zamachu na carskich satrapów. Stanisław organizuje zamachy na sędziego wojennego Doroszewskiego, komisarza policji Konstantynowa, zastępcę generał-gubernatora warszawskiego generała żandarmerji Markgrafskiego, Proskurjakowa oraz wielu innych. Zamachy te przeszły do legendy. Rozsławiły imię tajemniczego "Stanisława", którego nadludzka osobista odwaga postawiła w pierwszym szeregu rewolucyjnych działaczy i przywódców. Władze carskie ścigają go. Na głowę jego wyznaczono 10.000 rubli nagrody. Przerzuca się do Lublina i do Siedlec, gdzie przeprowadza konfiskaty w Rejowcu, Dorohusku, Nałęczowie. W Rejowcu został ranny od bomby. Poszukuje go policja i żandarmerja w Lublinie, więc Stanisław wyjeżdża z powrotem do Warszawy. Odbudował tam Organizację Bojową i przeprowadził słynny zamach na kasę pocztową na rogu Kruczej i Wspólnej. W walce, jaka się wówczas wywiązała, zginął carski oficer i kilku żołnierzy, naczelnik urzędu i jeden bojowiec. Kilka razy oprawcy carscy osaczają Stanisława na ulicy — za każdym razem wyrywa się z ich rąk.

Człowiek walki

Tymczasem rewolucja przechodzi swój kryzys. W czasie rozłamu Stanisław wypowiedział się za Frakcją Rewolucyjną P.P.S. i pociągnął za sobą lubelskie i siedleckie. Odrzuca prądy ugodowe. Był zawsze człowiekiem walki. Wierzy w Polskę wolną, niepodległą, demokratyczną, ludową i wie, że trzeba o nią walczyć. Obowiązek woła go do Łodzi, gdzie wrzały walki bratobójcze z poduszczenia reakcji polskiej, zatrwożonej widmem "czerwonej" Polski, rodzącej się z robotniczej walki z caratem. Stanisław naradził się z kierownikami łódzkiej P.P.S. i ustalił z nimi, że trzeba rękę mściciela skierować przeciw tym, co walki bratobójcze podsycają — to jest przeciw carskiej policji. Ona to bowiem dostarczała broni bojówkom kainowym. Jednego dnia został dokonany szereg napadów na różne rządowe instytucje carskie. Podczas jednej z tych akcji Stanisław sam rozbroił czterech żołnierzy i zabrał wóz z pieniądzmi, konfiskując go na potrzeby rewolucji.

W maju 1907 r. Stanisław jedzie do Krakowa. Tam niepokoi go żan-



TOMASZ ARCISZEWSKI

darmerja austrjacka, przenosi się więc do Lwowa. Pracował w fabryce Lubomirskiego, ale nie byłby sobą, gdyby nie stanął do nowej pracy organizacyjnej. Jakoż gromadzi robotników i studentów i organizuje zaczątki "Związku Walki Czynnej". Lecz Organizacja Bojowa wzywa go z powrotem do Warszawy i jedzie tam w lipcu, by zorganizować zamach na powokatorów Sankowskiego i Dercza, których zeznania zagrażały życiu kilkudziesięciu aresztowanych i oddanych pod sąd wojenny. Organizacja Bojowa zdziesiątkowana masowemi aresztowaniami; Stanisław jest w kraju jedynym członkiem Centralnego Wydziału Bojowego, który pozostał na wolności — inni zginęli na szubienicach lub przepadli w katorgach caratu. Stanisław stanął do pracy, odbudował organizację, objeżdżał miasta prowincjonalne. Aresztowany w Ostrowcu, uciekł do Radomia, a stamtąd jedzie w kaliskie i przygotowuje nowy zamach: akcję zabrania pieniędzy poczcie pod Orlą Górą. Zamach się nie powiódł. Sześć szwadronów kawalerji rosyjskiej z gen. Kaznakowem na czele ściga oddział Stanisława, który wycofał się do Kutna i Włocławka. We wrześniu 1908 Stanisław organizuje razem z Piłsudskim słynny zamach na pociąg pod Bezdanami. Po walce podczas odwrotu nabawił się zapalenia płuc, musiał wyjechać do Krakowa by ratować zagrożone życie, ale w roku 1909 znowu wraca. Organizuje zamach na prowokatora Tarantowicza i na pocztę w zamojskim. W r. 1909 i 1910 poprowadził szereg dalszych akcji terorystycznych przeciw władzom carskim, biorąc równocześnie udział w pracy wykładowej na kursach instruktorskich Organizacji Bojowej. Opracował też zasady taktyki Organizacji Bojowej. Po rozwiązaniu Organizacji Bojowej przedostaje się raz jeszcze do b. Galicji i pracuje jako robotnik w fabrykach we Lwowie, Stanisławowie, Borysławiu i Zaleszczykach. Pracuje też politycznie wśród przebywającej w Galicji emigracji socjalistycznej z Kongresówki. Razem z Feliksem Perlem kieruje opozycyjną grupą skupioną wśród pisma "Placówka" zarzucając Piłsudskiemu zbyt jednostronne skupienie pracy na przygotowaniach militarnych oraz zaniedbanie spraw codziennych walk robotniczych w kraju. Grupa ta ostrzegała też przed tendencją uniezależniania roboty militarnej od partji. Opozycja podtrzymywała staranie tradycję i ideologję P.P.S. i tem samem zachowała wrogi stosunek tak do t.zw. Socjalnej Demokracji Królestwa Polskiego i Litwy jak i do t.zw. P.P.S. Lewicy, jako do organizacji zwalczających samo dążenie do niepodległości Polski.

Walka z okupantem niemieckim

Wybuch wojny światowej położył kres różnicom. Cała grupa opozycyjna powróciła do partji, a Arciszewski wstąpił do Legjonów w stopniu podporucznika. Utworzył lotny oddział bojowy, który prowadził akcję dywersyjną na tyłach carskiej armii. Po r. 1915 Arciszewski staje do pracy w P.P.S. w Zagłębiu, Piotrkowie, Warszawie, Częstochowie, Lublinie, Radomiu i Łodzi. Organizuje związki zawodowe i Komisję Centralną Związków Zawodowych. W r. 1916 został wybrany radnym miasta Warszawy. Tworzy kuchnie robotnicze, kooperatywy, piekarnie robotnicze, wydaje organ P.P.S. "Jedność Robotnicza" /tygodnik, później dziennik/. W krótkim czasie ruch robotniczy krzepnie i staje do nowej walki: przeciw okupantom niemieckim.

W Rządzie Ludowym

I znowu znika Arciszewski, a gdzieś w podziemiach okupowanej Polski staje do walki czynnej z najeźdźcą Stanisław. Scigany przez Niemców ukrywa się jako "nielegalnik". Zorganizował Pogotowie Bojowe P.P.S. Wkrótce atoli staje przed nim nowe zadanie: Centralny Komitet Wykonawczy P.P.S. wysyła go do Rosji na kongres Sekcji P.P.S. w Rosji. Objechał Smoleńsk, Oreł i Moskwę, nawiązał łączność z tysiącami towarzyszów, których rewolucja oswobodziła z więzień carskich. Powrócił do Polski na czas, by stanąć do nowej pracy już w niepodległej Rzeczypospolitej. 7 listopada 1918 przybywa do Lublina i wchodzi w skład rządu ludowego z tow. Daszyńskim na czele. Obejmuje tekę pracy i opieki społecznej. W rządzie ludowym w Warszawie obejmuje tekę poczt i telegrafów. Wkrótce potem został wybrany posłem na Sejm Ustawodawczy z Zagłębia Dąbrowskiego, z tego samego okręgu, w którym jako kilkunastoletni chłopak stanął w szeregach P.P.S. Rozpoczyna budowę wielkiego Domu Ludowego w Dąbrowie górniczej. Wchodzi jako radny do rady miasta Warszawy. I bierze się jednocześnie do nowej pracy: Przez tyle lat codziennie patrzał śmierci w twarz, patrzał jak najbliżsi towarzysze ginęli obok niego od kul kozackich. Zostawały po nich wdowy, zostawały dzieci . . . Dawny Stanisław organizuje Wydział Opieki nad Dzieckiem Robotniczym, który później przyjął nazwę Robotniczego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci. Rozwija organizację, która powoli rozrosła się na cały kraj, otacza ją swoją troską i czujną opieką. Jest coś głęboko symbolicznego w tym fakcie, że człowiek którego zadaniem było zabijać gnębicieli Polski i klasy robotniczej — teraz swoje wysiłki poświęcił nowym, rosnącym pokoleniom w niepodległej już Polsce.

Przeciw sanacji

Nie dane mu było jednak spocząć beztrosko. Nowe zadania wyrastają jedne po drugiem. W r. 1920 Arciszewski staje na czele Robotniczego Komitetu Obrony Niepodległości, organizuje 1 robotniczy pułk obrony Warszawy. Wreszcie wojna została zakończona, granice ustalone. Arciszewski pracuje w Centralnym Komitecie Wykonawczym P.P.S., pracuje zarazem w zawsze ukochanym Zagłębiu i w Radomiu. Rok 1928 — Jaworowski i Moraczewski próbują rozbić szeregi P.P.S. Organizacja warszawska P.P.S. była w ręku Jaworowskiego, trzeba ją na nowo odbudować, umocnić. A potem nadchodzi Brześć i brzeskie wybory. W Sejmie Arciszewski zabiera głos i gromi sanację. Milczą, nie śmią mu przerywać — ta postać osiwiała w bojach o Niepodległość onieśmiela nawet rozzuchwalonych i pewnych bezkarności krzykaczy na ławach B.B.A Arciszewski woła pod adresem całego tego obozu:

"Wyrwaliście Polskę ze szlaku dziejowego demokracji polskiej; wpychacie ją w ślepy zaułek policyjnego faszyzmu . . . Walka przeciw wam jest walką o przywrócenie Polsce należnego jej miejsca i szacunku wśród idących ku przyszłości Ludów Europy".

Arciszewski staje na samym czele tej walki. Po XXII-gim /krakowskim/ Kongresie Partyjnym, odbytym podczas Zielonych Swiątek 1931, Partja stawia go na swym czele jako przewodniczącego C.K.W. Od tego czasu bez przerwy piastuje to odpowiedzialne stanowisko.

Wszystkie od tej pory prowadzone walki P.P.S. toczą się pod jego przewodem. Ten skromny, pracowity człowiek, nie żądający dla siebie niczego od życia, nie mający od świata żadnych wymagań, był wszędzie, gdzie wymagały tego warunki walki. Klasa robotnicza nietylko go szanuje ale i kocha—wszyscy znają kryształowy charakter Stanisława, wszyscy znają jego ofiarność i poświęcenie i umiłowanie robotniczej sprawy. To doprawdy rycerz "bez lęku i skazy", rycerz w robotniczej bluzie.

Znowu pięć lat pod ziemią

Po raz ostatni przed wojną spotkaliśmy się na posiedzeniu C.K.W. na cztery dni przed wybuchem wojny. W czasie całodniowych obrad Arciszewski zabierał głos, analizując położenie, kreśląc zadania klasy robotniczej. Napewno nikt z nas nie był defetystą, aliści widzieliśmy z bolem że ziemie polskie znajdą się pod okupacją wroga. Arciszewski omawiał już pracę nielegalną, rysował jej zadania . . .

I stanął na jej czele. Przez niemal pięć lat przewodniczył tajnemu kierownictwu podziemnej P.P.S., pięć lat w piekle niemieckiej okupacji. Pięć lat na posterunku. Znowu pięć lat jako "człowiek podziemny", tropiony przez niemieckich oprawców, ścigany z miejsca na miejsce. Podziemny ruch robotniczy wyrósł w konspiracji w potęgę. Przerzedziły się straszliwie szeregi, tylu z pośród najlepszych już nigdy nie stanie do pracy w niepodległej na nowo Polsce. Stanisław trwał w podziemiach na swoim posterunku walki.

Nie zeszedł z niego. Został wezwany do Londynu. Rada Jedności Narodowej czyli podziemny Parlament Polski Walczącej wyznaczyła go kandydatem na stanowisko następcy Prezydenta R.P. Posłuszny tej uchwale we wtorek 18 lipca opuścił Warszawę. We wtorek 1 siepnia był między nami w Londynie.

Witaj, kochany Towarzyszu Stanisławie w wolnym świecie. Niechaj w Twej osobie świat ujrzy najlepsze uosobienie tej Nowej Polski, która przez dziesiątki lat ciężkiej walki, przez łzy i krew, przez cierpienia i ofiary idzie do pełnej niepodległości, do wolności i do demokracji, otwierając tym samym ludowi pracującemu szeroką drogę do Socjalizmu.

ADAM CIOŁKOSZ

Kolejarze w walce podziemnej

Wieczór powoli zapadał nad większym miastem w Polsce pod okupacją niemiecką. Na zadrzewionym podmiejskim podwórzu jest ciemniej niż gdzieindziej. Wokół podwórka stoi kilka drewnianych domów, zamieszkałych przeważnie przez kolejarzy. Ludzie ci ciężko pracowali przez dzień, jak zawsze zresztą. Sciemniło się już dobrze gdy do jednego z domów przyszło w nieregularnych odstępach czasu kilku ludzi. Weszli do izby, gdzie siedział przy stole młody jeszcze człowiek, nazywany w poufnych rozmowach "dyżurnym ruchu".

Przybyli ubrani byli przeważnie w zniszczone ubrania kolejarskie. Wszyscy usiedli. Gospodarz częstował swych gości tytoniem i jednocześnie zapytywał czy wszystko przygotowane.

—Tak — odpowiedział pierwszy z zapytanych, człowiek o charakterystycznym wyglądzie twarzy, nabytym podczas długich jazd na parowozie.

Następny o ciemnej skórze na twarzy i na rękach — przypuszczalnie smarownik—w odpowiedzi podniósł rogatywkę z czerwonym paskiem i odparł — "czapka w czapkę" — obywatelu.

—A więc o dziesiątej spotykamy się.

—Zrobione. Dobrze. — Przybysze opuścili mieszkanie. Zbliżyła się godzina dziesiąta wieczorem.

W lesie, w pobliżu toru kolejowego na zakręcie stało pod drzewami kilkunastu ludzi, uzbrojonych w r.k.m-y. Czekali. Nadeszli drudzy. Wymienili hasło. Dowódcy grup zbliżyli się do siebie, porozmawiali i za chwilę wydali rozkazy.

Oczekujący wcześniej w lesie zajęli stanowiska do otwarcia ognia z karabinów maszynowych, a ostatnio przybyli weszli na tory. Wyjęli narzędzia z pod kapot i rozpoczęli rozkręcanie szyn gdy na torze niespodziewanie ukazały się światła latarek. Nie było wątpliwości, że nadchodzi patrol Bahnschutzu. Pociąg, wiozący czołgi i wojsko powinien był wyjść o tym czasie z sąsiedniej stacji. Nie było czasu na namyślanie się. Dowódcy zdecydowali przerwać robotę na czas przejścia patrolu. Jeśli strażnicy spostrzegą uszkodzenie, to postanowili otworzyć ogień i uniemożliwić sygnały. Robotę przerwano i wszyscy przyczaili się w krzakach. Patrol szedł i oświetlał szyny. Chwila napięcia. Nie spostrzegli. Minęli. Nie uszli jeszcze daleko gdy poomacku przystąpiono do dalszej roboty. Pociąg zagwizdał niedaleko. Za chwilę rozległ się szept: gotowe.

—Dobrze. Schodzić. Pociąg już się ukazał. Trochę zwolnił i następnie przyśpieszył. Nagle rozległ się trzask i parowóz i kilka wagonów wyskoczyło z szyn. W pociągu powstało zamieszanie i ogłoszono alarm. Z lasu tymczasem posypały się gęste strzały. Niemcy rozpoczęli również strzelać. Prawdopodobnie byli wśród nich ranni, ponieważ słychać było wołanie o pomoc. Oddział polski wycofał się i na pożegnanie ktoś rzucił: — Zjeżdżaj z cudzego toru, taki i owaki . . .

J.K.

Żołnierz Armii Krajowej

LUDZIE PODZIEMNI

Pod Długim Kątem

Przed wieczorem nadchodzi rozkaz wymarszu. Serca zdają się rosnąć: zadanie bojowe.

Borem, lasem zabrawszy ze sobą ze skrytki w gąszczach ładunek trotylu dochodzimy na miejsce zbiórki. Jest godz. 23.

Po dwugodzinnym pełnym niecierpliwości oczekiwaniu, z lasu wyłaniają się cztery sylwetki żołnierzy niemieckich w pełnym oporządzeniu. Konsternacja. Ale krótka. "Germańcy" to nasze chłopaki ubrane w mundury zabrane "kałmukom" 23 marca w miejscowości Zwierzyniec-Biały Słup.

Jeszcze mija godzina na zejście zapóźnionych, potem rozdział funkcji i odmarsz. Przed nami ciemna, chmurna i bezksiężycowa noc. Na czele oddziału posuwa się ubezpieczenie — 3 szperaczy, dalej siła główna, z tyłu znów 3 — ubezpieczenie tylne. Idziemy cicho jak cienie, mijając linię za linią, przesiekę za przesieką, poprzez głęboki las.

Zaczyna świtać, gdy mijamy pocichutku wioskę. Gdzieniegdzie zaszczekały psy. Znowu las. Wilgotny, mglisty. O 6-ej rano dowódca zarządza biwak w leśnym ostępie. Czujki rozstawione, rozpalamy ogniska, pluton zasypia snem dobrze spracowanych, by zbudzić się dopiero w południe.

Pod drzewem dowódca, szef i plutonowy omawiają szczegóły natarcia. Specjalnie frapuje ich kwestia zaminowania toru kolejowego, oddział rozporządza bowiem blisko 2,5 kg trotylu, ale niestety lonty zamokły i nie dają pewności zapłonu. Narada dochodzi wreszcie do wspólnego wniosku: trotyl trzeba rozbroić detonacją granatu zaczepnego.

Po przygotowaniu plutonu, z wyczyszczoną jak lustro bronią, najedzeni i względnie wyspani ruszamy dalej. Mamy przed sobą teoretycznie 10 km marszu. Niestety, posuwając się w lesie, napotykamy na miejsca gdzie mogą się lokować zasadzki nieprzyjaciela i siłą rzeczy musimy je obchodzić, co zwiększa fragmenty naszej drogi dwu, a czasem trzykrotnie.

O jakiejś porze dochodzimy do spalonej w drodze represji przez Niemców gajówki. Wrażenie niesamowite. Na wielkiej polanie, na której znać jeszcze ślady zeszłorocznej uprawy widnieją tylko dwa kominy spalonego domku, jak gdyby dwie ręce wznoszące się do nieba i błagające o pomstę. Obok domku dwa białe krzyże znaczą mogiły ofiar. Pozatym przeraźliwa pustka i cisza, tak dziwnie nie licująca z prawie wesołym i ruchliwym od wiatru szumiącego w koronach drzew, wyglądem polany.

Idziemy dalej. Mijamy opuszczony kamieniołom. Jeszcze 200 mtr i las kończy się. Powoli zapada zmrok, jesteśmy już w naszym rejonie operacyjnym. Trzeba teraz zachować jak najdalej idącą ostrożność. Staje więc na przedzie trzech "germańców", jako rozpoznanie i wychodzimy na pole świeżo zorane, a ciągnące się 3 km. Musimy błyskawicznie przeskoczyć je, tym bardziej, że na szlaku naszej drogi znajduje się niemiecki folwarczek. Cicho, że nawet psy nas nie wyczuły, mijamy folwark, wieś i znów zapadamy w las.

Jest tylko 2 klm do miejsca akcji. Las wybitnie bagienny, z pod butów chlupie woda, ale gęsty i silnie podszyty doskonale nadaje się na biwak, tym bardziej, że jest godz. 23, a akcja może się rozpocząć dopiero o 7 rano. Takie informacje uzyskał nasz wywiad.

Zapadamy więc na suchszej kępie. Wilgoć i chłód — bo to dopiero koniec kwietnia — powodują, że wszyscy jak na komendę zaczynają szczękać zębami. Rozpalamy malutki ogienek, aby nie dekonspirując się noc przetrzymać i naprzemian czuwając, to znów zapadając w nerwowy, pełny zwid i majaków sen, oczekujemy wschodu słońca.

Po pewnym czasie ze zwału mgły, którym jak gdyby sama natura chciała nas osłonić, wyłania się brzask dnia. Odrazu inny duch wstępuje w oddział, silne podniecenie, jak zwykle przed akcją. Nim mrok ustąpił dochodzimy do celu, dowódca rozdziela stanowiska.

Ob. "Puhacz" ze swoim rkmem zwanym "gramofon" obejmuje drużynę szturmową na parowóz. "Wrzos" natrze na pociąg z cysternami z boku i wystrzela załogę, "Smoczek" z 4-ma ludźmi pokosi rkmem po cysternach i podpali ostatnią, "Szef" założy minę i przeprowadzi detonację. Konieczna duża ostrożność, bowiem pod szyny podłożono 2,5 kg trotylu, co grozi oberwaniem kawałkiem żelaza po głowie.

Zasiadamy na stanowiskach. Kilkakrotny alarm — fałszywy. Wreszcie — coraz bliższy łoskot pociągu. Oto nadchodzi.

Eksplozja. Niestety wybucha tylko granat i to na 60 mtr przed pociągiem. Maszynista hamuje i dojeżdża tylko rozpędem do miejsca eksplozji. W tej chwili słychać "gramofon" — ale po kilku strzałach milknie — zaciął się. Teraz głos mają "organy" "Wrzosa" — kilka serii i z brankardu za parowozem przez uchylone drzwi odzywają się 2 rkemy i 2 piemy /pist. masz./ niemieckie. Na końcu pociągu "Smoczek" ze swoim towarzystwem zapalonym kwaczem na kiju obrabia rzygające benzyną cysterny.

Nagle maszynista ostatnim zrywem parowozu usiłuje oderwać się od pociągu — jeszcze jedna seria strzałów i parowóz z przestrzelonym hamulcem staje. Strzelanina obustronna bardzo silna. Ogień niemiecki — gwałtowny, nic dziwnego: 4 sztuki broni maszynowej skoncentrowane w jednym punkcie.

Ale oto ogień na chwilę przycicha i dochodzi nas sapanie i dudnienie drugiego i trzeciego pociągu, które znajdują się nie dalej jak kilometr od nas. To już nieprzyjemna niespodzianka. Porucznik nakazuje odwrót.

W zasadzie mieliśmy rozbroić załogę pociągu benzynowego, ale wobec zmienionych warunków trzeba z tego zrezygnować.

Chłopaki złe jak osy błyskawicznie wycofują się do tyłu. Bez strat. Tempo, tempo. Teraz całe nasze bezpieczeństwo spoczywa w nogach. W godzinę przebiegamy 4 klm lasu i 3 klm pola i zapadłszy w gęstwinę możemy spokojnie obserwować skutek naszej akcji.

Widzimy najpierw kilka płonących cystern, kłęby czarnego dymu, a za chwilę dudnienie i nowe kłęby raz po raz wybuchających nowych wagonów. Pełny efekt widać dopiero po następnej godzinie. Morze dymu i płomieni palącej się benzyny i płonącego lasu.

Następnego dnia nasz wywiad donosi: 1 z załogi pociągu zabity, 3 rannych; około 40 mtr toru zerwane, 13 cystern z materiałem pędnym oraz 1 parowóz spalone. Przerwa w ruchu — jak się okazało później — trwała dwa dni. Do Wielkiej Niedzieli.

Było nam tego wszystkiego diablo zamało. Aż zeby zgrzytały.

Katastrofa pod Gołębiem

Stacja Gołąb na linii Warszawa-Lublin. Mały parterowy budynek, Podrzędny przystanek, na którym pociągi pośpieszne wyjeżdżające z Dęblina w ogóle się na zatrzymują. Tory na Lublin skręcają o 100 m. za stacyjką lekka krzywizna wśród rzadkiego sosnowego młodziku. Nieco dalej, za piętrowym budynkiem kolejarskim następuje drugi, silniej wygięty łuk, potem torowisko ginie za lasem, zmierzając do Puław i Lublina.

Sierpniowa ulewa przesłania stację, tory i las szarą mgłą. Dzień zapowiadał się ładnie, ale już od 8-ej leje jak z cebra. Wokoło — ani żywego ducha.

SZLAKIEM SZYN . . .

Napozór. Bo wgłębi lasku, pod osłoną ociekających deszczem gałązek sosnowych czuwa pięciu ludzi. Patrol bojowy Polski Walczącej.

Są u celu. Po niebezpiecznej podróży z ładunkiem materiałów wybuchowych, zapalnikami i lontami, po 35-kilometrowym nocnym marszu przez lasy, po przeprawie przez rzekę. Na pięciu — dwa tylko pistolety na wypadek spotkania z jakimś gorliwym czy nieostrożnym patrolem niemieckim lub Bahnschutzami. Jedyna przewodniczka — mapa, przestarzała zresztą wobec rabunkowego wyrąbu lasów przez okupanta.

Dziewięć godzin marszu w nieznanym terenie, po nocy, wśród gęsto strzeżonych miejscowości. Dęblin /obóz wojskowy/, Stawy /składy amunicji/, Ryki /czujny garnizonek/.

Godziną dwunasta. Deszcz uparty i natarczywy. Cuci z senności, ale jakże męczy, jakże ziębi nawskroś. Do pociągu jeszcze trzy godziny.

Dowódca patrolu namyśla się. Ostrzejszy zakręt — pewniejszy. Ale panuje nad nim piętrowy dom kolejarski. Łatwo o niepowodzenie jeśli ktoś z okna spojrzy na tor i zobaczy pracę patrolu . . . Więc ten drugi zakręt? Bliżej stacji, obok semafora? . . . Tak blisko budynku stacyjnego. Ale stamtąd trudniej coś spostrzec.

Przeklęty deszcz. Dobroczynny deszcz, osłaniający wszystko gęstą siatką ulewy. Pod osłoną oszronionych, ociekających dżdżem sosen trwa powolna, nieustanna praca. Wprawne ręce łączą lontami ładunki wybuchowe z samoczynnymi detonatorami, rozpakowują i montują zapalnik zaciskowy przeznaczony jako dodatkowa pułapka.

Diabli nadali! Ktoś jeszcze jest w lesie. Słychać stukot siekiery. Stłumione ale bliskie echo. Rży koń. Jakiś złodziejaszek leśny? . . .

Dłuży się czas, szary, mokry, pełen niepokoju i przygnębienia. Jeszcze raz trzeba obliczyć szanse. Pociąg z Dęblina jedzie do tego miejsca 7 minut. Jeszcze pół godziny . . . Czas!

Mokry las, mokra, grząska trawa, mokry, ociekający strugami stok toru. Zewnętrzna strona łuku — według instrukcji. Jedna grupa — 3 ludzi — zakłada miny przy semaforze, druga montuje pułapkę o 200 metrów dalej, za czerwonym, piętrowym domem, na drugim łuku. Trwa to parę sekund. Dłużej trzeba umieszczać miny: założyć sieć ogniową, zapakietować trzy bliźniacze ładunki przy trzech sąsiednich podkładach . . .

I wtem — wstrząs. Ze zgrzytem i chrzęstem opada semafor. Sygnał "stój" . . . Piorunująca myśl: ze stacji ktoś zobaczył. Chcą zatrzymać pociąg. Zaraz nadbiegną sprawdzić co się tu dzieje. Na nic, wszystko na nic.

Praca już skończona. Co robić? Czy zdjąć ładunki? Ratować je? . . . Tak, ktoś idzie szybko ku stacji. Doniesie. Pociąg dopiero za 20 minut.

Za późno na refleksje. Chodzi o ludzi. Odskok. Niema rady.

Obie grupy wycofują się do lasku. Łączą ze sobą. Widzą, że na stacji gromadzą się ludzie. A może jednak? Może się uda? Może choć pułapkę prześlepią?

Obmokły, posępny las. Zwątpienie i rezygnacja. I cień nadziei słaniający się w myślach.

Daleki gwizd parowozu przeszywa dreszczem pięciu ludzi. Zdala, poprzez 2 kilometry lasu słychać dudnienie pędzącego pociągu. Dębliński pośpieszny, bez wątpienia. Gna dużym pędem. Jadą nim Niemcy, wojskowi, policja, cywile, zbrojna eskorta. Polaków tam nie ma. Same tylko szwaby. Ci co z Lubelszczyzny zrobili Dzikie Pola, ci co mordowali, palili, rabowali.

Grom! . . .

Potężny łoskot detonacji, nie ściszony odległością ni deszczem. Potoczy się wielokrotne echo, niczem grzmot nawałnicy. Pójdzie lasami, borami, daleko . . .

Na znak odwetu i pomsty.

Pociąg pośpieszny Warszawa-Dęblin-Lublin wpadł na założone miny. Semafor dawał znak lokalnej towarówce, która przepuścić miała pośpieszny. Nikt nic nie zauważył. Runęła z nasypu lokomotywa z rozstrzaskanym kotłem, rozwalonym pozbawionym kół podwoziem. Waliły się z ogłuszającym łomotem rozpędzone wagony. 140 Niemców zabitych i rannych dobyto z gruzów i szczątków.

"Więźniarka" Majdanek-Oświęcim

Nazywa się to "więźniarka". Wagon towarowy, podzielony mocnym przepierzeniem na dwie części. W jednej, większej, mieszczą się transportowani więźniowie, w drugiej wygodnie podróżuje konwój, rekrutujący się z S.D., najkrwawszych gestapowskich kanali. Wewnętrzne drzwi z przedziału konwojentów do więźniów, zamykane są na dwie zasuwy i tęgi zamek. Wyjście dla więźniów tylko przez przedział konwoju. Dwa małe okienka na użytek eskorty. Więźniom światło i powietrze — zbędne.

"Więźniarka" — jeden z wyczynów katowskiej pomysłowości niemieckiej XX-go wieku. Bezpieczeństwo pełne.

Do takiego wehikułu załadowano 19 maja 1943 r. w Lublinie 49 więźniów politycznych z Majdanka. I doczepiono ten wagon do składu pociągu idącego z Chełma do Warszawy. Przeznaczenie — via Warszawa — do oświęcimskiej mordowni.

Gdy noc zapadła, na małej stacyjce Celestynów na linii lubelsko-warszawskiej, na której to trasie już setki tysięcy męczenników wędrowało niewinnie na swą kalwarię, zjawiło się paru młodych ludzi. Czekali — jak i garstka tubylców — na pociąg do Warszawy. Ale zamiary mieli zgoła inne.

Przed budynkiem stacyjnym na pierwszym torze stały lory towarówki z piaskiem, dwa dalsze tory były puste. Na ten trzeci najdalszy miał nadejść oczekiwany pociąg.

Przeszło 3 godziny spóźniony! Przez 3 przeszło godziny w cieniu drzew i krzewów dokoła stacji czekało kilkudziesięciu ludzi, nieruchomo leżących, dygocących z zimna i nasłuchujących gwizdu pociągu . . . Ale tylko wicher gwizdał w igliwiu sosen.

Postój pociągu miał trwać 3 minuty. Nieliczni pasażerowie wsiedli lub wysiedli — za chwilę odjazd. Pan zawiadowca podniósł latarnię do góry prawą ręką. Potem — nagle podniósł i lewą rękę. I tak z wyciągniętymi ramionami, szybko wycofał się z peronu. Towarzyszyli mu dwaj ludzie, których pistolety poczuł na plecach.

Postój przedłużył się do 40 — niezmiernie hałaśliwych — minut.

Zaledwie pociąg stanął, uchyliły się zewnętrzne drzwi "więźniarki". W strudze światła zeskoczył na tor jeden z konwojentów. Natknął się na kogoś stojącego na schodkach. Strzał. Podobny do trzaśnięcia drzwiczkami wagonu. Nikt z podróżnych nie zwrócił na to uwagi. Ale konwój zorientował się odrazu. Uchylone drzwi więźniarki zatrzaśnięto, zaryglowano od zewnątrz.

Wtedy do środka przedziału S.D. padł przez okienko granat. Huk i kurz, jęk i wrzask. Gruchnęła wzdłuż pociągu salwa z rkm. Tysiące ech poszło po nocy, po lesie.

Cztery niemieckie wagony pośrodku pociągu zbudziły się odrazu. Opadły okna, wychyliły się lufy, wszczęła się bezładna strzelanina jak ulewny deszcz. Na stacji odpowiedziały 4 pistolety maszynowe i kule zadźwięczały na szybach pociągu . . .

Bahnschutze skupieni w wagonie służbowym za tendrem zabarykadowali się co tchu. Nie sposób ich wykurzyć. Zato u stopni lokomotywy leży zabity niemiecki kierownik pociągu. Obsługa parowozu sterroryzowana, obezwładniona. Pociąg nie ruszy.

Oblężenie "więźniarki" skończone. Drugi granat rzucony w przeciwległe okienko zrobił swoje. Drzwi wywalone wybuchem rozleciały się w drzazgi. Dwuch żywych jeszcze konwojentów padło od kul obok pierwszego zabitego. Czwarty rozerwany przez granat leżał na podłodze. Ale dostęp do więźniów niemożliwy, zasuwy i zamek trzymają mocno. Walą więc łomy w wewnętrzne drzwi. Zbudzeni ze snu więźniowie ubierają się coprędzej.

—Niech żyje wolność! . . . — krzyczą na widok wpadającej odsieczy. Przez rozwalone deski, przez trupy Niemców, przez burzę wystrzałów — wypadają na tor. Nareszcie wolni! Wśród swoich!

Za stacją czekają w mroku samochody. Tam na torze strzelanina trwa jeszcze. Przewala się echami . . . Tu, spokój. Niema co się spieszyć. Połączenia telefoniczne zerwane. Najbliższy posterunek żandarmerii o 6 km, zapewne — jak w takich razach bywa — zabarykadowany. Wreszcie pociąg przestał się bronić. Od parowozu niosą dwóch rannych. Dwa auta. Odjazd.

Tymczasem gdy walka trwa na stacji, o ćwierć kilometra ku Warszawie, pod sygnałem stoi w ciemności drugi pociąg z przeznaczeniem na Dęblin. Żołnierski transport na wschód. Jadą nim tłumy żołnierzy. Muszą mieć twardy sen, jeśli nie budzi ich to piekło. Coby to było, gdyby tak pociąg lubelski ruszył z miejsca po jednym torze?

Zawiadowca, uwięziony na stacji, błaga w imię boskie, by nie puszczać ostrzeliwanego pociągu. I oba pociągi przez 40 minut stoją pod parą — bez ruchu. Jeden grzmiący strzałami jak oblegany fort, drugi udający kamienny sen, pełen uzbrojonych niemieckich żołnierzy.

Po 40 minutach samochody odjechały, piesi znikli bez śladu, ucichło wszystko.

Zostało 5 zabitych Niemców, wielu jęczących rannych i konających w wagonach "Nur für Deutsche". O białym świcie postrzelany pociąg ruszył do Warszawy, ciągnąc rozwaloną więźniarkę. Do Oświęcimia już jej chyba nie taszczono . . .

/Z "Polski Karzącej". Opracowanie P.S.W. Warszawa 1943./

KRYZYS W JAPONJI

Zmiana rządu w Japonii wywołała duże zamieszanie i jeszcze więcej sprzecznych komentarzy. Niektórzy komentatorzy byli nawet zdania, że upadek gen. Tojo oznacza zupełną zmianę polityki Japonii. Nieco światła na kulisy tego przesilenia rzucił Sir Robert Craigie były długoletni ambasador Wielkiej Brytanii w Japonii, który w "Times" zamieścił na ten temat bardzo ciekawy artykuł p.t. Upheaval in Japan.

Upadek gen. Tojo — pisze Sir Robert Craigie — jest czymś więcej niż zmianą rządu, jest złamaniem długiej tradycji japońskiej wymagającej, aby rząd, który wojnę rozpoczął zakończył ją. Ta tradycja była wiernie przestrzegana we wszystkich nowoczesnych wojnach japońskich. Miała ona być wobec świata świadectwem jedności narodowej i zdecydowanej woli zwycięstwa. Złamanie tej tradycji oznacza pierwszą rysę w japońskiej fortecy wojskowej, tak jak bomba w kwaterze Hitlera oznacza napewno początek końca hitleryzmu.

NIEMA ZMIAN W POLITYCE JAPOŃSKIEJ

Ze wszystkich dostępnych źródeł można wnosić, że zmiana rządu nie oznacza zmiany w awanturniczej polityce wojskowej Japonii. Przeciwnie, nowy rząd chce przez rozszerzenie swej bazy pozyskać szersze poparcie opinii dla dalszej wojny. A przedewszystkiem chce zredukować do minimum tarcia pomiędzy armią i flotą.

Jakie są aktywa rządu gen. Koiso?

1/ Japońskie pancerniki stanowiące podstawę floty wojennej są dotychczas nienaruszone. Przeciwnie, zostały ostatnio powiększone przez nowe potężne jednostki.

2/ Armia japońska bardzo silna liczebnie i technicznie została dotychczas jedynie w niklym procencie dotknięta stratami w Burmie, w Nowej Gwinei i na wyspach Pacyfiku.

3/ Niebywałe rezerwy każdego rodzaju surowca i sprzętu wojennego nagromadzono w Japonii na wypadek zerwania łączności z wyspami Pacyfiku, Malajami i Indiami Holenderskimi.

4/ Lud zdyscyplinowany i gotowy walczyć do ostatka, gdyby nastąpiła inwazja Wysp Japońskich.

To są niewątpliwie duże aktywa. Ale potężny nieprzyjaciel znajduje się obecnie jedynie o 1.500 mil od Tokio, podczas gdy rok temu znajdował się jeszcze 3.500 mil od stolicy Japonii. Przed rokiem jedna potężna linja fortec japońskich ciągnęła się od wysp japońskich do Australji. Obecnie aljanci przełamali tę linję i z potworną siłą, szaloną przewagą lotnictwa i floty i niebywałą sprawnością zajmują jedną pozycję po drugiej. Japonja normalnie unikałaby ryzykowania swojej floty, dopóki moment nie będzie najodpowiedniejszy t.z. dopóki linje komunikacyjne i zaopatrzeniowe Ameryki nie będą najdłuższe, a japońskie najkrótsze. Ale jak się obrazowo wyraża Craigie "The sands are running out" i nie wydaje się aby Japończycy jeszcze długo mogli odkładać moment decydującej rozgrywki.

CHARAKTERYSTYKA NOWEGO RZĄDU

Nowy rząd jest pewnego rodzaju surogatem koalicji t.zw. koncentracji narodowej. Wobec braku w Japonji opinji publicznej, partji politycznych, związków zawodowych, niezależnej prasy, parlamentu, oraz jakiegokolwiek cienia niezależnych sił politycznych, koalicja składa się z różnych klik wojskowych i koterji politycznych oraz byłych przywódców starych, dawno rozwiązanych dwóch partji politycznych. Jeden z tych przywódców dawnej, potężnej partji "Sieyukai" zaproszony obecnie do rządu liczy 83 lata.

Nie ulega wątpliwości, że nowy rząd nie będzie zdolny do obrony Japonji przed katastrofą wojenną. Sytuacja będzie się pogarszała w miarę jak wyspy japońskie znajdą się coraz bardziej w zasięgu lotnictwa amerykańskiego. Możliwe, że Japonja będzie walczyła do końca, ale coraz więcej Japończyków wie już, że niezwyciężalność Japonji, w którą 100 procent narodu japońskiego wierzyło jeszcze w 1942, jest obecnie tylko legendą.

Upadek gen. Tojo jest pierwszą oznaką nieporozumień u góry, a to może mieć decydujące znaczenie dla dalszej sytuacji wewnętrznej Japonji.

THE POLISH WORKER IN GREAT BRITAIN

Published by the Polish Socialist Party (P.P.S.), Section for Abroad

PRICE 3 PENCE

Adres redakcji i administracji :

3/13, NORTHWOOD HALL, HORNSEY LANE, LONDON, N.6.

CENA 3 PENSY

Prenumerata kwartalna 1/6d.

Printed by St. Clements Press, Ltd., Portugal Street, London, W.C.2.